

Kruchość

U Pilcha każde słowo ma wagę złota. On nim wywija jak kowal gorącą sztabką metalu, wyciąga sensory, nadaje nową energię. I... lepi demony. O tym, mówiąc najprościej, zrobił przedstawienie w Teatrze Nowym („Wiele demonów”) Mikołaj Grabowski – smakosz tego, co kryje się między wierszami, ku pokrzepieniu serc lub wprost przeciwnie. I mamy dwa byty istniejące na scenie obok siebie.

Jeden, ten widzialny w rozwiązaniach inscenizacyjnych, w sposobie noszenia wdowiego toczka przez Iwonę Bielską (brawurowo zagrany epizod) czy nerwowym poprawianiu tlenionych włosów przez Joannę Król (bardzo wyrazista) jest światem serio. Opowieścią o przedziwnych splotach okoliczności, przypadkach dobrych i złych w życiu społeczności, która jest kosmosem (w Siglach na Śląsku Cieszyńskim, w latach pięćdziesiątych XX wieku). Z jej dramatai, wyborami moralnymi, tzw. czynnikami politycznymi, a przede wszystkim wyznawaną filozofią istnienia. Z Bogiem czy bez, ale z jakąś sferą świętości, owocami zakazanymi, siłą cielesnego pożądania czy magnetyzmem serc. Ten świat pokazany jest jakby z pozycji ludzkiej mrówki, irytuje, śmieszy lub budzi sympatię czy współczucie. Fascynuje wielością i różnorodnością odczuć bohaterów, to przyziemny, to wzniosły.

Sprawą podstawową jest narracja. Fakty to fakty, zdarzenia to zdarzenia, każdy głupi przecież to wie. Ale kiedy zyskują walor nadzwyczajności, poetyckość lub wieloznaczność? Tak dzieje się wtedy, gdy wszystko biorą w swoje ręce... demony. One wiedzą tak naprawdę, co myślała seksowna Ola, jedna z dwóch córek ewangelickiego pastora, przed swoim tajemniczym zniknięciem. I czy monolog charakternej żony skaczącej po trumnie niepochowanego jeszcze męża jest rozliczeniem się z przeszłością, czy bardziej ogólnie – zamyśleniem nad fenomenem śmierci, która ciąży w naszej psychice. Demony to i my, nasze jestestwo, część świadomości. Albo, według innego pojmowania, coś pośredniego między tym, co boskie a tym, co ludzkie. W każdym razie to właśnie w nich, w ich dystansie do zdarzeń i samych siebie, czyli bohaterów tkwi największy chyba walor powieści Jerzego Pilcha. Nic nie jest dosłowne, wszystko NIEDOOKREŚLONE, o czym łatwo można się przekonać, czytając fragmenty tekstu wyświetlanego na ekranie umieszczonym na scenie. I to jest ten drugi byt...

Mikołaj Grabowski jako reżyser i adaptator zdecydował się przenieść na scenę jeden z najtrudniejszych tekstów Pilcha. Trudny, bo rządzący się logiką powieści, w której nie funkcjonują „normalne” zasady epiki i mechanizmy narracyjne, trudny, bo odwołujący się do domeny wyobraźni, gromadzonych przez wieki archetypów, skojarzeń, literackich paralel. Z wieloma dywagacjami odautorskimi na temat życia „w ogóle” i po drobnemu. Zrobił spektakl minimalistyczny w warstwie wizualnej, bardziej do słuchania niż do patrzenia, punktujący bogactwo ludzkich zachowań – który buduje udanie klimat tamtej prowincji dzięki przywołaniu różnorodnych konwencji. Ale spektakl zostawia z pytaniem: czy każdy epicki tekst da się przenieść na scenę, czy może stać się teatrem w całym tego słowa znaczeniu? I nie chodzi nawet o zubożenie treści odwołujących się, jak tu, do całej historii ludzkości, wpływu Biblii na nasze życie czy znaczenia doniesień „Gazety Śląskiej” i „Głosu Ziemi Cieszyńskiej”. A o to, czy przedstawienie Grabowskiego stopiło się w jedną artystycznie doniosłą całość z powieścią albo jej wybranymi wątkami, czy też, jak ja to czuję, „pozostaje” ciekawą, niebanalną wariacją na temat.

Na koniec mój ulubiony cytat z tej powieści: „W chwilach zwątpienia widzimy wszystko jak teatralną farsę albo przyrodniczą fazę rozgrywającą się na powierzchni planety – kto raz doznał poczucia kulistości pod stopami, tego kruchość nigdy nie opuści, na zawsze go sparaliżuje”. Myślę, że to jest też przesłanie Grabowskiego...

Małgorzata Karbowskiak / „Kalejdoskop”, 5 maja 2017